

### WIZJA III (*trans rytmu Batumi*)

Przyjechaliśmy tu dzisiaj wczesnym rankiem. Kapłan James Natorp nakazał mi się wyspać, wymyć i duchowo przygotować do Wielkiej Ceremonii Domu Tańca. Teraz — w drugiej połowie sierpnia — galaktyczna czara sprzyja naszym działaniom, delikatnie stymulując ruchy ciał, oczyszcza je z grzechu cywilizacji oraz dostarcza coraz bardziej wyrafinowanych bodźców rozkoszy... Wschodzi księżyc. Zbieramy się pod skonstruowanym z sitowia Domem Tańca, skupieni w modlitwie prawie nie rozmawiamy. Odległa wieś — tkwiąca na horyzoncie latarnia dymu — dostarcza nam ostatnich przebudzeń ze strony tak przez nas często negowanej codzienności. Prawdziwa transcendencja i wyzwolenie duszy. Oświecenie tkwi w podniesionej do rangi absolutu codziennej rutynie. Utartemu szlakowi codziennych zdarzeń zawdzięczamy nie tylko pojawiające się od czasu do czasu iluzje pewności — lecz przede wszystkim decydujące o naszym życiu pojęcia przestrzeni i czasu. Przestrzeń jest właściwie tylko i wyłącznie podniesioną w niebiosa rutyną i przyzwyczajeniem geometrii. Czas jest rutyną zmienianej naszym umysłem przestrzeni. Jest iluzją zmiany i ruchu... Ściemniło się. Znajdujące się w zasięgu wierzchołki szepczących palm stają się zwyrodniałą plamą czerni tkwiącą po obu stronach Domu Tańca... Dom Tańca – Dom Zagłady, Dom Smutku. Zostajemy zaproszeni do środka, bez pośpiechu zajmujemy pozostawione przez wiernych wolne miejsca na posypanym otrębami klepisku. Jesteśmy tylko gośćmi tej uważnej i podejrzliwej wobec obcych ludzi wspólnoty.

Centralny, przeznaczony dla tancerzy plac otoczony jest kręgiem roznieconego przez posługacza ognia, w powietrzu unosi się zapach palonych, lekko narkotyzujących ziół. Czuję się trochę oszołomiony i zagubiony w tej tak nietypowej, obcej dla moich

zmysłów rzeczywistości. Powoli zaczynają się zbierać uczestnicy Ceremoniału. Kapłani zajmują miejsce wewnątrz kręgu. Członkowie społeczności Batumi ustawiają się na zewnętrznych, koncentrycznie rozmieszczonych względem siebie pierścieniach. Pojawia się miejscowa, obsługująca między innymi wesela i pogrzeby „grupa perkusyjna”.

Sześciu czarnych, natłuszczonych oliwą muzyków zajmuje miejsca przy przypominających afrykańskie „Tam-Tamy” bębnach. Nowicjusze, sympatycy i kilku białoskórych obserwatorów zasiada przy północnej ścianie domu. Wejścia są pilnowane przez specjalnie do tego celu wybranych, uzbrojonych w noże strażników. Rozmieszczone są na osi północ-południe... Pojawia się rytm. Zrazu spokojny, nienatarczywy szelest grzechotek i tam-tamów przeradza się w potężnie pulsującą, kosmiczną falę uniesienia i tajemnej nostalgii... Ustawione naprzeciwko nas żywe posągi „tanany” poczynają drgać, pełzać przez opary kadzideł. Ruch staje się płynny, kręgi wirują coraz prędzej, coraz szybciej, każdy w przeciwną stronę jednoczy się z przestrzenią i jej wyobrażeniem. Rytm — tempo udziela się nam wszystkim, z upływem czasu do tańczących zaczynają przyłączać się postacie pozostające do tej pory na uboczu — obserwatorzy i nowicjusze wyznania Wudu Batumi. Czuję napływającą zewsząd energię, tętniącą oddechem przyrodę, wilgotne opary tropikalnego lasu wypełniają mnie całego od opuszków palców po korę mózgową jestem już tylko rytmem i wspólnotą. Tracę kontakt z rzeczywistością, przyłączam się do wirującego w opętańczym tempie kręgu, jednoczę się z ludem — kultem Batumi, z całą ludzkością i z życiem naszej planety. Tracę poczucie własnego ciała, „jest mi dobrze, tak bardzo lekko, radośnie, iż ulatuje mej pamięci moment oderwania się od ziemi”. Moja psychika lewituje, a ja staję się uosobieniem wolności, swobodnego lotu ptaka po bezbrzeżnym oceanie, galaktycznego szczęścia i radości...

Naprzeciwno mojego uwikłanego w taniec „Centrum Ja” pojawia się oślepiające, przytłaczające lecz przyjazne przepotężne światło, poczucie Mocy. Czuję się zdominowany, lecz to nie ogranicza mojej wolności, czuję się podbity, lecz to nie narusza mojej suwerenności. Jestem jednością, lecz nie tracę swej indywidualności, popadam teraz w egzaltację lecz to, co przeżywałem nie nadaje się do wysłowienia. Podskórny prąd zwyrodniałej materii uderza moje ciało, ruchy stają się coraz bardziej ociężałe, coraz więcej kłopotów sprawia mi utrzymanie łączności ze świętym światłem. Entropia rośnie, przed oczyma umysłu przesuwa mi się krajobrazy wychłodzonego, pozbawionego ruchu i zmiany wszechświata. Czuję się zniewolony i uwięziony. Intuicyjnie zaczynam pojmować dlaczego w większości kultur świata materia — jej pojęcie — łączona była z kategorią zła, a światło, zmiana i ruch — z dobrem. Rozumiem... Uczucie to jest w swej istocie pewnym pierwotnym instynktem kulturowym, często nie wypowiedanym nigdy na głos, lecz niepomierne ważne. Instynkt ten poruszył tajemne, tkwiące w martwej materii sprężyny ewolucji — rozwoju, z bezrozumnego zwierza uczynił istotę myślącą i odczuwającą... Krąg tańczących rozszerza się, coraz częściej padają na klepisko umęczeni tańcem, wysiłkiem fizycznym i ekstazą uczestnicy Wielkiej Ceremonii. Po chwili zmuszony zostają do dołączenia do nich: leżący pokotem stos ciał przykuwa mą uwagę, stają się im powinowaty. Odczuwam emanującą od nich siłę przyciągania. Zapadam w krąg kolorowych, barwnych niczym film z poligonu Los Alamos, drgających snów.

Wizje senne przypominające w swojej konstrukcji narkotyczne iluzje, spowodowane zatruciem kory mózgowej, są jednak bardziej ulotne, mniej realistyczne, bardziej poetyckie niż epistemologiczne, są one po prostu Snami. Sen pierwszy opowiada o tym, iż nie zawsze człowiek odnajduje swoje przeznaczenie, a może nim być praca, miłość lub powołanie do spraw Wielkich...

Sen drugi zawiera w sobie kwintesencję niespełnionej miłości, miłości nie pragnącej zostać ciężarem dnia powszedniego. Miłość jest barwą, a barwa jest Magią. Sen trzeci opowiada o wojnie. Walka jest koniecznością, lecz nie zawsze można o niej mówić w sposób wyrozumiały. Śniąc w Domu Tańca odkryłem w sobie pokłady wrażliwości, wiedzy i współodczuwania odnoszące się do całego Wszechświata, do poczucia jedności i wizji ze wszystkim, co nas otacza... W pamięci mej najtrwalszy ślad pozostawił sen pozbawiony „przesłania”, sen czysto estetyczny; emocjonalny zapis barw i dźwięków wczesnej północnoamerykańskiej jesieni... Jestem w zarośniętym żółtą i przekwitającą roślinnością ogrodu. Wirujące, dręczące liście, miotane podmuchami wiatru atakują delikatne, maleńkie oka cyklonów na zwirowanej płaszczyźnie alejki. Siadam na trawie — wyrosnięte, owocujące łodygi kłaniają się podmuchom ciepłego, pachnącego ziemią i owocami powiewu. Kładę dłonie na ziemi i czuję przepływający z samego jądra planety strumień ciepła, świeżość, moc i nadzieję. Nadchodzi spokój — późny wieczór wkracza w ostatnią, dominującą fazę nasycenia błękitem. Kładka przerzucona przez przecięte boskim ostrzem połówki globu zapada się w głąb, rozsadza ściskając ją z obu stron pnie grusz. Ostatni dzień lata — ostatni dzień jesieni. Ta przestrzeń określona zostaje pojawieniem się Nieznajomej. Płaczącej nieznajomej w nędzy. Nie wiem skąd zaczerpnąłem te pompatycznie i negatywne przydomki. Powstaję z trawy, podchodzę do kobiety, ona — ciągle tajemnicza i niezdecydowana — cofa się za porośniętą bluszczem kratownicę i cały czas nie dopuszczając do tego, bym ujrzał jej twarz w całej krasie, woła bez słów, nieznośnie, niezrozumiale, tajemniczo i pociągająco nakazuje mi poddanie się płynącym z wnętrza Ziemi sygnałom... Łuny na niebie. Nie potrafię powiedzieć kiedy pojawiły się te pulsujące, tętniące życiem rozbłyśki złotej plazmy wypełniające czaszę nocnego horyzontu. Spadające gwiazdy, meteoryty, komety,

mgławice gazów i pyłu. Tajemnica i niespodzianka nowo narodzonych wspomnień. Nowa jakość pękających jabłek i ociekających słodyczą soków śliwy. Nowa perspektywa kobiecości. Nieznajoma Płacząca i Nieznajoma w Nędzy, święte imiona i święci latynoscy — jak list z Jamajki do Londynu, list w zalakowanej butelce wrzucony do Atlantyku na wysokości Bermudów. Kwintesencja latających spodków, tajemniczy potwór trójkąta i tak dalej. Kobieta nie dopuszczała do zbytniego zbliżenia, każdy mój krok w jej stronę napotykał na ostrą, sprawiającą ból ripostę i szyderstwo wywiniętego w bok lewego kącika ust, zakutego w pierścień palca halucynacji. Nieznajoma w Nędzy rozpostarła biały welon płonącego nieba i wstąpiwszy na ogrodową, składaną ławkę zastygła niczym kamienny posąg, niczym posąg dynamiczny, niczym podziwiana przez tłum płonąca żyrafa Salvadora Dali. Nieznajoma prześladowała mnie od tego czasu w snach i w wielu spowodowanych użyciem nadmiernych ilości alkoholu czy narkotyków wizjach. Pojawiała się zawsze wtedy, gdy musiałem podjąć jakąś ważną życiowo decyzję, nie zwlekając przybywała po to, by mnie ostrzec lub tylko wprowadzić w odpowiedni do podejmowania tych decyzji nastrój.

## KONSTATACJE KOŃCOWE

Nie potrafię odpowiedzieć sobie na pytanie, kiedy w moich przeżyciach z Wudu Batumi miałem do czynienia z Magią i sugestią, a kiedy ze zbiorowym obłędem i narkotycznymi wizjami. Jedno i drugie rozwiązanie tej zagadki jest do przyjęcia i nie stanowi moim zdaniem zagrożenia dla pozytywnego odbioru zjawiska pod tytułem „Wudu Batumi”. Potencjalna krytyka „Nowej Wrażliwości” miałaby taki sam sens jak podważanie zasadności i pozytywnego znaczenia takich zjawisk jak poezja, zabawa, gra, wyobraźnia itd. Gdzie kończy się magia, a zaczyna poezja? Poezja

prywatna, intymna, być może odrobinę naiwna i nie nadająca się do druku lecz jednak prawdziwa i bardzo osobista. Jedno jest pewne — nauczyłem się tolerancji i mój umysł stał się bardziej elastyczny. Zostałem zmuszony do zastanowienia się nad sobą i nad swoim miejscem we Wszechświecie. Stałem się wrażliwszy na wszystkie docierające do mnie bodźce, tak kulturowe, jak i pochodzące od otaczających mnie indywidualnych istnień. Zyskałem wiarę w sens rzeczywistości i odrzuciłem wszystko to, co mogło zapędzić mnie w świat fałszu i obłudy. Odrzuciłem tak charakterystyczny dla współczesnego społeczeństwa „wyścig szczurów”, nędznych stworzeń marnujących swe pochodzące od stwórcy Wszechświata życie w pogoni za pieniądzem, prestiżem i innymi fałszywymi bożkami cywilizacji technicznego kapitalizmu. Nie znaczy to, iż zrezygnowałem z udostępnionych mi przez cywilizację udogodnień. Idzie tylko o to, że nie widzę sensu wydatkowania mej ograniczonej przez Boga energii umysłu w celu zdobywania coraz lepszych i coraz bardziej absorbujących ATRAP. Myślę, iż żyć trzeba oczywiście godnie i wygodnie — nie warto jednak przez wiele lat walczyć o oferowaną nam przez różnych cwaniaków PROZĘ ŻYCIA. Po co to?